

— Panie Howard, jak udał się konkurs w tym roku?

Ale nie dosłyszał jej i pochylił się ku mnie.

— W gruncie rzeczy — powiedział — nie powinniśmy byli nigdy opuszczać wyspy Mauritius.

XI

Niewielki stary budynek szarozółty, z każdej strony betonowe, starannie wykonane bariery, za nimi peron, gdzie wysiadłem z kolejki. Plac przed stacją był pusty, tylko po płaskim terenie pod drzewami jakieś dziecko jeździło na wrotkach.

Pomyślałem: „Ja też, dawno temu, bawiłem się tutaj”. Ten cichy plac naprawdę coś mi przypominał. Mój dziadek Howard de Luz wyjeżdżał po mnie do wieczornego pociągu z Paryża albo, przeciwnie, to ja w letnie wieczory z moją babką, Mabel Donahue z domu, oczekiwałem go na peronie. Trochę dalej szosa, szeroka jak autostrada, ale bardzo mało na niej samochodów. Przeciąłem park miejski, otoczony takim samym betonowym ogrodzeniem, jakie widziałem na placu Dworcowym.

Po drugiej stronie szosy parę sklepów pod czymś w rodzaju arkad. Kino. Dalej gospoda ukryta wśród drzew przy łagodnie wznoszącej się alei. Skierowałem się tam bez wahania, bo wcześniej przestudiowałem plan Valbreuse. Przy końcu tej obsadzonej drzewami alei mur i okratowana bramka, na niej tabliczka ze spróchniałego drzewa; odgadując połowę liter zdołałem odczytać: „Zarząd Dóbr Państwowych”. Za bramką rozciągał się zaniedbany trawnik. Całkiem w głębi długi budynek z cegły i kamienia w stylu Ludwika XIII. Środkowa część, wyższa o jedno piętro, była wysunięta do przodu, a fasadę po obu

bokach uzupełniały pawilony zwieńczone kopułami. Wszystkie okiennice były zamknięte.

Ogarnął mnie wielki smutek: może w tym zamku przeżyłem dzieciństwo. Pchnąłem żelazną furtkę i bez trudu ją otworzyłem. Od jak dawna nie przekraczałem tych progów? Po prawej stronie zauważyłem budynek z cegły, zapewne stajnie.

Trawa sięgała mi do kolan, więc starałem się iść jak najkrótszą drogą w kierunku zamku. Ta milcząca budowla intrygowała mnie. Bałem się, że za fasadą nie zobaczę nic prócz wysokiego zielska i zrujnowanych murów.

Ktoś na mnie wołał. Obejrzałem się. Od stajen jakiś człowiek dawał mi znaki ręką. Szedł ku mnie, a ja przystanąłem pośrodku trawnika podobnego do dżungli i patrzyłem na niego. Dość wysoki, masywny, w ubraniu z zielonego sztruksu.

— Czego pan sobie życzy?

Zatrzymał się parę kroków ode mnie. Brunet, z wąsami.

— Chciałbym dowiedzieć się czegoś o panu Howardzie de Luz.

Podszedłem bliżej. Może mnie pozna? Za każdym razem ta sama nadzieja i ten sam zawód.

— Który pan Howard de Luz?

— Freddie.

Powiedziałem „Freddie” głosem niepewnym, jakby to było moje imię, które wymówiłem po latach zapomnienia.

Wytrzeszczył oczy.

— Freddie...

W tej chwili naprawdę zdawało mi się, że on zwraca się do mnie po imieniu.

— Freddie? Ależ on już tutaj nie mieszka.

Nie, nie poznał mnie. Nikt mnie nie poznawał.

— Czego pan właściwie sobie życzy?

— Chciałbym się dowiedzieć, co się dzieje z Freddie'm Howardem de Luz.

Przyjrzał mi się podejrzliwie i włożył rękę do kieszeni w spodniach. Może wyjmie broń i wymierzy we mnie. Ale nie. Wyciągnął z kieszeni chustkę i otarł nią czoło.

— Kim pan jest?

— Poznałem Freddie'ego w Ameryce, dawno temu, i chciałbym się o nim czegoś dowiedzieć.

Na to kłamstwo twarz nagle mu się rozjaśniła.

— W Ameryce? Pan poznał Freddie'ego w Ameryce?

Słowo „Ameryka” najwidoczniej obudziło w nim jakieś tkliwe uczucia. Zdawało się, że gotów mnie ucałować z wdzięczności, że znałem Freddie'ego „w Ameryce”.

— W Ameryce? A więc znał go pan, kiedy był osobistym sekretarzem tego... tego...

— Johna Gilberta.

Cała jego nieufność znikła.

Wziął mnie nawet za ramię.

— Proszę tędy.

Pociągnął mnie w lewo, wzdłuż muru otaczającego zamek, gdzie trawa nie była tak wysoka i gdzie zachował się ślad dawnej drogi.

— Od dłuższego czasu nie mam wiadomości o Freddie'm — powiedział poważnym głosem.

Jego zielone sztruksowe ubranie było miejscami do cna wytarte, a na ramionach, łokciach i kolanach naszyte miał skórzane łąty.

— Pan jest Amerykaninem?

— Tak.

— Freddie przysyłał mi dużo widokówek z Ameryki.

— Czy pan je przechowuje?

— Ma się rozumieć.

Zmierzaliśmy do zamku.

— Pan jeszcze nigdy tutaj nie był? — zapytał.

— Nigdy.

— A skąd pan wziął adres?

— Od kuzyna Freddie'ego, Claude'a Howarda de Luz.

— Nie znam go.

Doszliśmy do jednego ze skrzydeł zwieńczonych kopułą, jakie zauważyłem na obu krańcach zamkowej fasady. Okrążyliśmy budynek. Wskazał mi małe drzwi.

— Tylko tymi drzwiami można się tu dostać.

Przekręcił klucz w zamku. Weszliśmy. Poprowadził mnie przez ciemny i pusty pokój, potem przez długi korytarz. Znaleźliśmy się w pokoju oszklonym kolorowymi szybami, co nadawało mu wygląd kaplicy lub oranżerii.

— To była letnia jadalnia — powiedział.

Żadnych mebli prócz starej kanapy krytej wytartym pluszem, na której usiedliśmy. Wyjął z kieszeni fajkę i bez pośpiechu zapalił. Światło dzienne, sączące się przez szyby, miało odcień bladoniebieski.

Podniosłem głowę i zauważyłem, że sufit był również bladoniebieski, z paroma jaśniejszymi plamami: były to chmury. Poszedł za moim wzrokiem.

— To Freddie malował sufit i ścianę.

Jedyna nie oszklona ściana była pomalowana na zielono i dostrzegłem tam palmę, prawie już zatartą. Próbowałem wyobrazić sobie tę salkę w czasach, kiedy jadalśmy tutaj posiłki. Sufit, na którym wymalowałem niebo. Zielona ściana, gdzie za pomocą tej palmy chciałem wprowadzić nastrój tropików. Kolorowe szyby, przez które sinawe światło padało na nasze twarze. Ale co to były za twarze?

— To jedyny pokój, gdzie jeszcze można wejść — powiedział. — Na wszystkich innych drzwiach są pieczęcie.

— Dlaczego?

— Dom jest pod sekwestrem.

Zmroziły mnie te słowa.

— Wszystko zasekwestrowali, ale mnie zostawili. Tylko na jak długo?

Pociągał z fajki i kiwał głową.

— Od czasu do czasu zjawia się taki jeden z Zarządu Dóbr Państwowych na kontrolę. Ale nie wydaje mi się, żeby oni mieli na coś się zdecydować.

— Jacy oni?

— Ci z Zarządu.

Nie bardzo rozumiałem, co ma na myśli, ale przypomniałem sobie napis na spróchniałej drewnianej tabliczce: „Zarząd Dóbr Państwowych”.

— Pan jest tutaj od dawna?

— A tak... Nastąpiłem po śmierci pana Howarda de Luz... dziadka Freddie’ego... Zajmowałem się parkiem i byłem szoferem jaśnie pani... Babki Freddie’ego...

— A rodzice Freddie’ego?

— Zdaje mi się, że pomarli bardzo młodo. Wychowywał się u dziadków.

A więc wychowywali mnie dziadkowie. Po śmierci dziadka mieszkaliśmy tu sami, ja, babka, Mabel z domu Donahue, i ten człowiek.

— Jak panu na imię? — zapytałem.

— Robert.

— A jak nazywał pana Freddie?

— Jego babka nazywała mnie: Bob. Była Amerykanką. Tak samo mówił do mnie Freddie.

Imię Bob nic mi nie przypominało. Ale przecież on także mnie nie poznał.

— Potem babka umarła. Już przedtem finansowo nie wiodło się im za dobrze... Dziadek Freddie’ego

roztrwonil majątek żony... Był to duży majątek amerykański...

Wolno pociągał z fajki i smugi niebieskiego dymu wznosiły się do sufitu. Ten oszklony pokój z malunkami Freddie'ego — może moimi? — na ścianie i na suficie był na pewno jego ucieczką.

— Potem Freddie zniknął... bez uprzedzenia... Nie wiem, co się stało. Ale wszystko znalazło się pod sekwestrem.

Znowu te słowa „pod sekwestrem”, jak drzwi gwałtownie zatraskiwane przed nosem właśnie w chwili, gdy mamy wejść.

— I odtąd czekam... Zastanawiam się, co oni chcą ze mną zrobić... Mimo wszystko nie mogą mnie wyrzucić na ulicę.

— Gdzie pan mieszka?

— W dawnych stajniach. Kazał je zbudować dziadek Freddie'ego.

Przyglądał mi się, z fajką w zębach.

— A pan? Proszę mi opowiedzieć, jak poznał się pan z Freddie'm w Ameryce.

— O, to długa historia.

— Nie miałyby pan ochoty przejść się trochę? Pokazałbym panu park z tej strony.

— Chętnie.

Otworzył oszklone drzwi i zesliśmy po paru kamiennych stopniach. Znaleźliśmy się przed trawnikiem, jak ten, przez który próbowałem przebrnąć w drodze do zamku, ale tutaj roślinność nie była tak bujna. Ku memu zdziwieniu ta część gmachu, zbudowana z szarego kamienia, wcale nie harmonizowała z fasadą; również dach był inny: urozmaicały go ścięte narożniki i szczyty, tak że budynek, wyglądający od frontu na zamek w stylu Ludwika XIII, od tyłu przypominał uzdrowiskowe domy z końca wieku

dziewiętnastego, których nieliczne okazy można jeszcze obejrzeć w Biarritz.

— Staram się jako tako utrzymać tę stronę parku — rzekł. — Ale to za wiele na jednego człowieka.

Szliśmy żwirową aleją równoległą do trawnika. Na lewo od nas krzewy, na wysokość człowieka, były starannie przycięte. Wskazał mi je.

— To labirynt. Zasadził go dziadek Freddie'ego. Pielęgnuję go jak tylko mogę. Niech przynajmniej coś zostanie tak, jak było.

Weszliśmy do „labiryntu” jednym z bocznych wejść i schyliliśmy się pod niskim zielonym sklepieniem. Przecinały się tam liczne aleje, urządzone były rozdroża, rondo, zakręty półkoliste albo pod kątem prostym, ślepe uliczki, altanka, a w niej zielona drewniana ławka... Jako dziecko może bawiłem się tu w chowanego z dziadkiem albo z rówieśnikami i zapewne w tym magicznym labiryncie, pachnącym sosną i ligustrem, przeżyłem najpiękniejsze chwile mojego istnienia. Kiedy wyszliśmy z labiryntu, nie mogłem się powstrzymać i powiedziałem do mego przewodnika:

— Ciekawe... Ten labirynt coś mi przypomina.

Ale on, zdaje się, nie usłyszał...

Na skraju trawnika do starych zardzewiałych słupów przyśrubowane były dwie huśtawki.

— Pan pozwoli..

Usiadł na jednej z huśtawek i znowu zapalił fajkę. Ulokowałem się na drugiej. Słońce zachodziło i łagodnym, lekko pomarańczowym światłem powlekało trawnik, żywopłot labiryntu, rzucało jasne cętki na szary kamień zamku.

Wybrałem tę chwilę, aby pokazać mu fotografię, na której byliśmy: Gay Orłow, stary Dżordżadze i ja.

— Czy zna pan tych ludzi?

Długo przyglądał się zdjęciu, nie wyjmując fajki z ust.

— O, tę dobrze znałem...

Dotknął wskazującym palcem twarzy Gay Orłow.

— Rosjanka...

W głosie jego była jednocześnie zaduma i wesołość.

— Pyta mnie pan, czy znałem tę Rosjankę...

Zaśmiał się krótko.

Freddie w ostatnich latach często z nią tutaj przyjeżdżał... Cholerna dziewczyna... Blond włosy... Mogę panu powiedzieć, że piła tęgo... Pan ją znał?

— Tak — odpowiedziałem. — Widywałem ją z Freddie'm w Ameryce.

— To on poznał Rosjankę w Ameryce?

— Tak.

— Więc ona mogłaby panu powiedzieć, gdzie jest teraz Freddie... Ją trzeba było zapytać...

— A ten czarny facet obok Rosjanki?

Pochylił się lekko nad fotografią i bacznie się jej przyjrzał. Serce mocno mi biło.

— Ależ tak... Jego także znałem... Niech pan poczeka... Ależ tak... To był przyjaciel Freddie'ego... Przyjeżdżał tutaj z Freddie'm, Rosjanką i jeszcze jedną dziewczyną... Wydaje mi się, że pochodził z Ameryki Południowej czy coś w tym rodzaju.

— Nie sądzi pan, że jest podobny do mnie?

— Tak... owszem — powiedział bez przekonania.

A zatem było już jasne, że nigdy nie nazywałem się Freddie Howard de Luz. Patrzyłem na zaniedbany trawnik, którego jeden skraj oświetlały jeszcze promienie zachodzącego słońca. Nie przechadzałem się nigdy po tym trawniku u boku babki Amerykanki. Nigdy jako dziecko nie bawiłem się w „labiryncie”. Tych zardzewiałych dzisiaj słupów nie wbito dla mnie. Szkoda.

— Powiedział pan: z Ameryki Południowej?

— Tak... Ale mówił po francusku jak pan i ja.

— I często go pan tutaj widywał?

— Bardzo często.

— A skąd pan wiedział, że on pochodzi z Ameryki Południowej?

— Bo jednego razu pojechałem po niego samochodem do Paryża. Mieliśmy się spotkać w miejscu jego pracy, w jednej z ambasad Ameryki Południowej...

— W której?

— No, za dużo pan ode mnie wymaga...

Musiałem się oswoić z tą zmianą sytuacji. Nie byłem już potomkiem rodziny, której nazwisko figurowało w kilku starych Bottinach i w książkach telefonicznych, lecz kimś z Ameryki Południowej, osobnikiem, którego ślady będą znacznie trudniejsze do odzyskania.

— Wydaje mi się, że on był przyjacielem Freddie'ego z lat dziecińczych...

— Przyjeżdżał tutaj z jakąś dziewczyną?

— Tak. Dwa albo trzy razy. To była Francuzka. Przyjeżdżali w czwórkę z Rosjanką i Freddie'm... Po śmierci babki...

Wstał.

— Może wrócilibyśmy do domu? Zaczyna się robić zimno...

Noc prawie już zapadła, więc znów usiedliśmy w „letniej sali jadalnej”.

— To był ulubiony pokój Freddie'ego... Wieczorami długo tu przesiadywał z Rosjanką, z tym Amerykaninem i drugą dziewczyną...

Kanapa była już tylko niewyraźną plamą, cienie na suficie układały się w kształt plecionek i rombów. Na próżno usiłowałem wyłowić echa naszych dawnych wieczorów.

— Ustawili tutaj bilard... W bilard grała przede

wszystkim dziewczyna tego z Ameryki Południowej... Stale wygrywała... Mogę to panu powiedzieć, bo grałem z nią wiele razy... Widzi pan, bilard jeszcze tam stoi...

Pociągnął mnie w ciemny korytarz, zaświecił kieszonkową latarkę i weszliśmy do wyłożonego kamiennymi płytami westybulu, gdzie zaczynały się monumentalne schody.

— Główne wejście...

Pod schodami rzeczywiście zobaczyłem stół bilaradowy. Oświetlił go latarką. Biała kula na środku, jak gdyby partię przerwano i lada chwila zamierzano do niej powrócić. I jak gdyby ktoś z nas — Gay Orłow, ja, Freddie, tajemnicza Francuzka, która tu ze mną bywała, czy też Bob — już pochylał się, aby w nią wycelować.

— Widzi pan, bilard wciąż tutaj stoi...

Omiótł światłem latarki monumentalne schody.

— Nie warto iść na górę... Wszystko opieczętowane...

Pomyślałem, że Freddie miał pokój na górze. Pokój małego chłopca, potem młodzieńca, z półkami książek, fotografiami na ścianach i — któż to wie — na jednej z nich byliśmy może wszyscy czworo albo tylko Freddie ze mną, ramię przy ramieniu. Bob wsparł się o bilard, żeby znowu zapalić fajkę. W zamysleniu patrzyłem na wielkie schody, na które nie warto było się zapuszczać, bo na górze „wszystko opieczętowane”.

Wyszliśmy małymi bocznymi drzwiami, które zamknął na dwa spusty. Było ciemno.

— Muszę zdążyć na pociąg do Paryża — powiedziałem.

— Proszę ze mną.

Wziął mnie pod ramię i prowadził pod murem otaczającym zamek. Doszliśmy do starych stajen. Otwo-

rzył jakieś oszklone drzwi i zapalił lampę naftową.

— Dawno już wyłączyli światło... Ale zapomnieli zamknąć wodę...

Byliśmy w pokoju, gdzie na środku stał stół z ciemnego drzewa i wyplatane krzesła. Na ścianach fajansowe talerze i miedziane naczynia. Wypchana głowa dzika nad oknem.

— Dam panu coś w prezencie.

Podszedł do skrzyni w głębi pokoju, otworzył ją, wyjął jakieś pudełko i położył je na stole; na przykrywce widniał napis: „Biszkopty Lefebvre Utile — Nantes”. Potem stanął przede mną.

— Był pan przyjacielem Freddie’ego, co? — zapytał wzruszonym głosem.

— Tak.

— No więc dam panu to...

Wskazał pudełko.

— To są pamiątki po Freddie’u... Drobiazgi, które udało mi się uratować, kiedy przyszli nałożyć pieczęcie na całą tę budę...

Był naprawdę przejęty. Może nawet miał łzy w oczach.

— Bardzo go lubilem... Znałem go od małego... To był marzyciel. Stale mi powtarzał, że kupi żagłowiec... Mówił: „Bob, będziesz moim drugim oficerem”... Bóg wie, gdzie się teraz podziewa... o ile jeszcze żyje...

— Odnajdziemy go — powiedziałem.

— Był zanadto rozpieszczany przez babkę, wie pan... — I podał mi pudełko. — Pomyślałem o Stiope Diagoriewie i jego czerwonym pudełku. Widocznie wszystko kończyło się w starych pudełkach po czekoladzie lub biszkoptach. Albo po cygarach.

— Dziękuję.

— Odprowadzę pana do pociągu.

Poszliśmy leśną aleją, jego latarka rzucała przed

namí wiązkę światła. Czy nie pomylił drogi? Miałem wrażenie, że zagłębiamy się w las.

— Staram się przypomnieć sobie imię przyjaciela Freddie'ego. Tego, którego pokazał mi pan na fotografii... Był z Ameryki Południowej...

Przecięliśmy polanę, gdzie trawa fosforyzowała w blasku księżyca. Dalej rysowała się kępa pinii. Zgasił latarkę, bo jasno było jak w dzień.

— Tutaj Freddie jeździł konno z innym przyjacielem... dżokejem... Nigdy nie wspominał panu o tym dżokeju?

— Nigdy.

— Nie pamiętam już jego nazwiska... A przecież on był sławny... Był dżokejem u dziadka Freddie'ego, kiedy stary miał stajnię wyścigową...

— Ten z Południowej Ameryki również znał dżokeja?

— Ma się rozumieć. Przyjeżdżali tutaj razem. Dżokej grywał z innymi w bilard... Myślę nawet, że to on poznał Freddie'ego z Rosjanką...

Bałem się, że nie zapamiętam tych wszystkich szczegółów. Należało je natychmiast zapisać w notesie.

Droga łagodnie wspinała się pod górę; szedłem z trudnością po grubej warstwie zeschniętych liści.

— Czy przypomniał pan sobie imię tego z Południowej Ameryki?

— Zaraz... zaraz... coś mi się snuje po głowie...

Przyciskałem do boku pudełko po biszkoptach; chciałem jak najprędzej przekonać się, co zawiera. Może znajdę tam odpowiedź na niektóre pytania, nazwisko moje albo na przykład dżokeja.

Staliśmy na skraju zbrocza i wystarczyło zejść w dół, aby znaleźć się na placu Dworcowym; oświetlona neonami poczekalnia wydawała się pusta. Jakiś

rowerzysta przejechał powoli i zatrzymał się przed stacją.

— Zaraz... już wiem... miał na imię Pedro...

Wciąż staliśmy na skraju zbrocza. Znowu wyjął fajkę, oczyścił ją jakimś małym tajemniczym narzędziem. Powtarzałem sobie imię, które nadano mi przy urodzeniu, imię, którym nazywano mnie przez jakiś okres mojego życia i które dla kilku osób kojarzyło się z moją twarzą. Pedro.

XII

Nic szczególnego w tym pudełku po biszkoptach. Ołowiany żołnierz-dobosz, z którego złuszczyła się farba. Czterolistna koniczyna przyklejona pośrodku białej koperty. Fotografie.

Na dwóch odnalazłem siebie. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że to ten sam człowiek, który figuruje obok Gay Orłow i starego Dżordżadze. Wysoki brunet, ja, z tą tylko właściwie różnicą, że bez wąsów. Na jednym z tych zdjęć stoi przy mnie człowiek równie młody, równie wysoki, ale o jaśniejszych włosach. Freddie? Tak, bo na odwrocie zdjęcia ktoś napisał „Pedro — Freddie — La Baule”. Stoiemy na brzegu morza w płaszczach kąpielowych. Zdjęcie najwidoczniej bardzo stare.

Na drugiej fotografii jest nas czworo: Freddie, ja, Gay Orłow, którą łatwo rozpoznałem, i jeszcze jakaś młoda osoba, wszyscy siedzą na ziemi, oparci plecami o czerwoną pluszową kanapę w letniej jadalni. Z prawej strony można dojrzeć bilard.

Trzecia fotografia przedstawia młodą osobę, widoczną na zbiorowej fotografii w letniej jadalni. Stoi przy stole bilardowym, trzymając oburącz kij. Jasne

włosy. spadają poniżej ramion. Czy to ją właśnie przywoziłem do zamku Freddie'ego? Na innym zdjęciu wspiera się łokciami o balustradę werandy.

Kartka pocztowa zaadresowana do pana Roberta Brun „z listami państwa Howard de Luz. Valbreuse, Dep. Orne”, przedstawia port nowojorski. Czytam: „Kochany Bob! Pozdrowienia z Ameryki. Do zobaczenia wkrótce. Freddie”.

Jest też dziwny dokument z nadrukiem: „Consulado General de la Republica Argentina”.

Nr 106

Konsulat Generalny Republiki Argentyny we Francji, reprezentujący interesy Grecji w strefie okupowanej, zaświadcza, że w czasie Wielkiej Wojny 1914-1919 archiwa miejskie w Salonikach zostały zniszczone przez pożar.

Paryż, 15 lipca 1941

Konsul generalny Republiki Argentyny, reprezentujący interesy Grecji.

U dołu podpis: „R. L. de Oliveira Cezar, Konsul Generalny”.

Ja? Nie. On nie ma na imię Pedro.

Mały wycinek z gazety:

Licytacja publiczna

mienia Howarda de Luz na wniosek Administracji Dóbr Państwowych w Valbreuse (Orne), Château Saint-Lazare

w dniach 7 i 11 kwietnia.

Duża ilość nieruchomości

Dzieła sztuki

Meble stylowe i nowoczesne

Obrazy — Porcelana — Ceramika

Dywany — Pościel — Bielizna stołowa

Fortepian firmy Erard
Lodówka itd.

Oglądać: w sobotę 6 kwietnia w godz. 14—18 i przed
południem w dniu licytacji w godz. 10—12.

Otwieram kopertę z naklejoną czterolistną koni-
czyną. Zawiera cztery małe zdjęcia, typowe fotografie
z automatu; jedna przedstawia Freddie'ego, druga
mnie, trzecia Gay Orłow i — czwarta — młodą
osobę o jasnych włosach.

Jest tam również nie wypełniony paszport Repu-
bliki Dominikańskiej.

Odwróciwszy przypadkiem fotografię młodej jasno-
włosej kobiety, przeczytałem napisane niebieskim
atramentem, tym samym niedbałym charakterem co
pocztówka z Ameryki: „Pedro: ANJou 15-28”.

XIII

W ilu agendach figuruje jeszcze numer telefonu,
który należał do mnie? Może to numer biura, gdzie
można mnie było zastać tylko po południu?

Nakręcą ANJou 15-28. Sygnał odzywa się paro-
krotnie, ale nikt nie odpowiada. Czy został jakiś ślad
po mnie w pustym mieszkaniu, w pokoju od dawna
nie zamieszkanym, gdzie dzisiaj telefon dzwoni na
próżno?

Nie muszę nawet zwracać się do biura numerów.
Wystarczy jednym ruchem ręki przekręcić skórzany
fotel Huttego. Przede mną rzędy Bottinów, książek
adresowych i telefonicznych. Jedna z nich, mniejsza
od pozostałych, oprawna jest w wytłaczaną seledy-
nową koźlą skórę. Tej właśnie mi potrzeba. Za-
wiera wszystkie numery telefonów, jakie zarejestro-